

ZBRODNIA NIE UKARANA

KATYŃ – TWER – CHARKÓW

**NIEZALEŻNY KOMITET HISTORYCZNY BADANIA ZBRODNI KATYŃSKIEJ
POLSKA FUNDACJA KATYŃSKA**

WARSZAWA 1996

ZESZYTY KATYŃSKIE nr 6

Pod redakcją Marka Tarczyńskiego
Redaktor: Janina Snitko-Rzeszut
Projekt okładki: Krystyna Tarkowska

© Copyright by Zeszyty Katyńskie

ISSN 1426-4064
ISBN 83-905877-0-X

Skład, druk i oprawa:
Drukarnia WN ALFA-WERO Sp. z o.o.
Zam. 2265/96

ANTONI TOMCZYK

PRZEBACZENIE*

Ważne zebranie w Kurpikach

Na Grodzieńszczyźnie, blisko Skidla i Żydomli, istniały trzy osady wojskowe: Budowla, Lerypol i Rokicie. Powstały one w 1922 roku na ziemi księcia Czetwertyńskiego, wykupionej przez rząd polski.

Osadnicy, z wyjątkiem kilku starszych wiekiem oficerów, stanowili szarą, frontową brać legionową, najczęściej z ochotniczego zaciągu w 1914 roku. Pracowici, kontaktowi, pełni młodzieńczej jeszcze fantazji, wnieśli między zaścianki szlacheckie i okoliczne wioski białoruskie nowy, pionierski sposób życia i gospodarowania. Wolni od uprzedzeń, żenili się ze szlachciankami, Białorusinkami, a nawet przywozili żony z centralnej Polski. Po kilkunastu latach ciężkiej, mozolnej pracy i wielu wyrzeczeniach doprowadzali swoje gospodarstwa do rozkwitu.

Ja wraz z rodzicami i starszym bratem mieszkałem w Lerypolu, rozciągającym się wzdłuż malowniczej rzeki Kotry.

W dniu 22 września 1939 roku, około godziny 8.00, wkroczyła do Lerypola grupa kilkunastu mężczyzn. Najpierw otoczyli dom generała Antoniego Szyllinga. Generał był na wojnie i dowodził Armią „Kraków”, jego rodzina mieszkała w Warszawie, a rządca Józwicki wyjechał z Lerypola kilka dni wcześniej.

Sąsiad generała, kapitan Jan Górnicki, też był nieobecny w domu. Przybysze wyprowadzili na podwórko, pod broń, szesnastoletniego Tadeusza, syna kapitana, i jego wujka Wła-

* Tekst za: „Głos znad Niemna” 1995, nr 37, s. 4-5; nr 38-39, s. 8-9.

dysława Górnickiego. Z następnego domu zabrali Stanisława Barszcza.

Gdy wreszcie gromada ludzi zbliżyła się do naszych zabudowań, doznaliśmy ulgi i odprężenia, okazało się bowiem, że obydwu Górnickich i Stanisława Barszcza prowadzili znajomi Białorusini z okolicznych wiosek.

Stanowili osobliwe zestawienie ludzi. Część z nich znana była z tego, że zajmowali się nielegalną działalnością i agitacją komunistyczną, inni zaś byli pospolitymi kryminalistami. Bez wątpienia łączyła ich wrogość do władzy, a nieraz także czas spędzony razem w aresztach. Ideowcami byli m.in. Stiepan Łukicz Arciukiewicz i Kirył Kurpik ze wsi Kurpiki, Gabriel Pilec i Iwan Josifowicz Hańta z Pużyc, Pietruk Gołowka oraz Maksym Siewieryn ze wsi Ogrodniki.

Kryminaliści i awanturnicy w większości wywodzili się z Kurpik i Pław. Wśród nich wyróżniał się notoryczny złodziej i recydywista Aleksander Nikołajewicz Kurpik, znany powszechnie pod przyzwiskiem Bazelik, oraz jego szwagier Władymir Iwanowicz Płachowicz. Był tu również Gierasim Gołowka z synem Iwanem, Wincuk Pilec, Pachnut Kurpik z synem Wołodią, Dymitr Afanasiewicz Kurpik, Grigorij Pantielejmonowicz Pilec, Józef Ziuka z Kotry i inni.

Uzbrojeni byli w karabiny, szable, siekiery, a na rękawach mieli pozakładane czerwone opaski.

Ojciec mój, mający towarzyskie usposobienie, utrzymywał z Białorusinami przyjazne kontakty. Ostatnio pełnił obowiązki starosty na weselu w Kurpikach. Był także zapraszany na inne uroczystości, toteż miał wiele okazji, aby zawrzeć z tymi ludźmi życzliwą znajomość. Zapytał więc śmiało, co oznaczają odwiedziny tak licznej grupy uzbrojonych sąsiadów.

Arciukiewicz wyjaśnił, że w Kurpikach odbędzie się ważne zebranie, na którym przedstawiciel nowej władzy sowieckiej będzie mówił o nowych porządkach, jakie tu teraz zapanują. Obecność osadników na zebraniu jest obowiązkowa.

Ojciec, Jan Tomczyk, oraz przebywający u nas na wakacjach dziesiętnastoletni Tadeusz Śliwiński dołączyli do idących na to ważne spotkanie w Kurpikach. Wtedy zabrano z domów następných sąsiadów: Antoniego Pawlikowskiego oraz Ignacego Zarębskiego.

Osadnicy, konwojowani przez uzbrojonych ludzi, pomaszrowali w stronę Kurpik i wkrótce zniknęli za nierównością falistego terenu. Tymczasem od strony Obuchowa nadjechali konno dwaj mężczyźni. Dopędzili pieszą kolumnę i po kilku minutach ciszę rozdarły wystrzały z karabinów oraz krzyki ludzi.

Blisko drogi, na łące Zarębskiego, zamordowano siedmiu Polaków, masakrując ich ciała z dużym okrucieństwem.

Po dokonaniu zbiorowego morderstwa oprawcy wyszli na drogę. Zobaczyli idącego od strony Sawalówki samotnego mężczyznę. Bez kłopotu rozpoznali Smolniaka. Był to samotny, biedny Polak, mieszkający w ziemiance na skraju Sawalówki. Utrzymywał się z pracy najemnej, głównie ze sprzedaży smolnych szczypek na podpałkę w piecu. Stąd pochodziło powszechnie używane przyzwisko Smolniak. Zapytany dokąd idzie, odpowiedział, że do Lerypola odwiedzić Tomczyka. Zaczęto go bić. Następnie zawleczono na łąkę Zarębskiego i zakatowanego na śmierć porzucono obok leżącego w kałuży krwi ciała Tomczyka.

Sielski Obuchowski Komitet, chcąc usprawnić całość operacji w Lerypolu, wysłał inną grupę bojowców do tych osadników, którzy mieszkali bliżej Obuchowa i Ogrodnik. Ustalono, że obydwie grupy spotkają się na drodze do Kurpik.

Okazało się, że ujęcie Jana Mazalewskiego, Pawła Mroczka i Jana Czyża zabrało zbyt dużo czasu, a Golińskiego w ogóle nie można było znaleźć. W takiej sytuacji delegat sowieckich służb specjalnych przy Obuchowskim Komitecie osobiście zmienił wcześniej uzgodniony plan działania. Wysłał konno dwóch posłańców do Arciukiewicza z poleceniem natychmiastowego zlikwidowania aresztowanych osadników, a sam objął kierownictwo drugiej grupy.

Doprowadzono Czyża, Mazalewskiego i Mroczka do kępy drzew przy działce Górnickiego, naprzeciw zabudowań Stanisława Barszcza. Tu kazano osadnikom klęknąć na skraju dużego wykrotu po drzewie przewróconym w czasie burzy.

Dwaj ludzie lustrujący dom Górnickich przyprowadzili żonę kapitana i jego córkę Zosię, bliźniaczkę Tadeusza, zabranego wcześniej przez grupę Arciukiewicza. Kazano kobietom stanąć obok osadników. Delegat przyjrzał się uważnie kobietom i być może buzia szesnastoletniej dziewczyny obudziła w nim okrucuch ludzkiego uczucia.

– Zenszczin nie nada! – powiedział i machnął ręką, by wracały do domu.

Tuląc się do siebie szły na wpół przytomne, oczekując chwili, w której padną strzały w plecy.

Zagrzmiały strzały karabinowe i Zosia dostrzegła kątem oka, jak trzy sylwetki osadników osunęły się do wykrotu. Naza jutrz wywieziono zwłoki osadników z łąki Zarębskiego i wszystkich, owiniętych tylko w prześcieradła, zakopano w wykrocie. Do dziś w tym miejscu znajduje się mogiła zbiorowa.

Wiele kłopotów sprawił osadnik Jan Goliński, żonaty z Katteriną Śliziewicz, Białorusinką z Kurpik. Ukrył się tak zmyślnie, że dopiero po trzech dniach Bazelik i Jakusiewicz z Komotowa wypłoszyli go z kryjówki. Ostrzeliwując uciekającego, próbowali złapać go żywcem. Ranny, zapędzony na brzeg Niemna, uciekał dalej ostrogą. Wreszcie, nie mając gdzie uciekać, rzucił się w nurty rzeki. Bazelik i Jakusiewicz dalej strzelali, starannie celując w głowę człowieka, ukazującą się nad powierzchnią wody.

Bezkarne polowanie na Polaków, zakwalifikowanych do likwidacji w trakcie wkroczenia wojsk sowieckich, przeradzało się we współzawodnictwo między dywersantami oszołomionymi alkoholem i poczuciem własnej siły.

Do dziś powtarza się w Kurpikach, jak jeden z nich, siedząc na zdobyczym koniu, uniósł szablę do góry i zawołał z dumą: – Eta szaszka uniczożyła siewodnia dwienadcat czelowiek!

Zebranie w Obuchowie

Osadnikom z Budowli już 18 września polecono złożyć w Obuchowie odbiorniki radiowe oraz broń. Dwa dni później zarządzono tam zebranie, na które musieli obowiązkowo stawić się wszyscy osadnicy. Realizację zarządzeń Sielskiego Obuchowskiego Komitetu zakłócały nieustanne ruchy dużych grup Wojska Polskiego.

Ostatecznie pojmano i zamknięto w piwnicy Totocia siedmiu osadników z Budowli. Obszerna, murowana piwnica spełniała rolę aresztu. Uwięziono w niej także Ulidę, sołtysa z Marianówki, oraz złapanego w Komotowie porucznika. Ci dwaj

nie byli długo więzieni w piwnicy, gdyż Komitet szybko podjął decyzję w ich sprawie.

Włodzimierz Aplewicz, Paweł Aplewicz oraz ich kolega Iwan Szyrko z Komotowa zaprowadzili obydwu mężczyzn na cmentarz w Żydomli i tam ich zamordowali. Sołtys Ulida nie miał przy sobie wartościowych rzeczy. Porucznikowi wcześniej zabrano krótką broń i 7 tysięcy złotych. Miał jednak na sobie nowy mundur oficerski, a Włodzimierz Aplewicz zawsze miał słabość do munduru. Zdarł mundur z martwego oficera, pozostawiając go na cmentarzu w podkoszulku i spodenkach. Paradując później po wsi w mundurze oficerskim, wyróżniał się elegancją jak przystało na komendanta milicji rewolucyjnej.

W dniu 23 września, przed zmierzchem, wyprowadzono z piwnicy wszystkich osadników, powiązano im ręce sznurami i pod wzmocnioną eskortą poprowadzono w stronę Żydomli. W skład eskorty wchodził sam przewodniczący komitetu, jego zastępcy: Paweł Budryk, Włodzimierz Aplewicz, Michał Sidorczuk, Paweł Aplewicz, a ponadto Włodzimierz Kowalczuk, Gabriel Jakusiewicz, Iwan Szyrko, Mikołaj Januczenia, Frol Januczenia, Szachniuk i inni. Nie zabrakło też kobiet, spośród których wyróżniała się osiemnastoletnia Eugenia Szostka (obecnie Bułaj).

Kiedy żony osadników przybyły do Obuchowa z kolacją dla mężów, piwnica była pusta. Nikt nie udzielił informacji, gdzie się podziali. Następnego dnia, a była to niedziela, Marianna Szubowa zamierzała wraz z innymi kobietami udać się do Obuchowa i Żydomli na poszukiwanie mężów. Rano przyszedł do Szubowej Mikołaj Patalota z Obuchowa i wręczył jej zapisany świstek papieru. Na kartce, pochodzącej rzekomo od jej męża, było zawarte polecenie wypłacenia Patalocie 30 złotych tytułem zaległego wynagrodzenia za pracę. Pani Marianna, lustrując podejrzaną kartkę oraz jej doręczyciela, doznała szoku. Patalota przyszedł w butach z cholewami, które bez wątplenia należały do jej męża. Jeszcze wczoraj więziony w piwnicy Stanisław Szuba miał je na nogach. Nieco później żona Jana Jagielskiego rozpoznała buty swojego męża na nogach dwudziestoczwolletniego Gabriela Jakusiewicza.

Tymczasem Szubowa opamiętała się i bez sprzeciwu wypłaciła Patalocie całe 50 złotych licząc na to, że hojnością trochę

go przekupi. Nie myliła się. Na pytanie, gdzie są osadnicy, gdzie przebywa jej mąż, Patalota, przybierając życzliwy wyraz twarzy, cmokał i kręcił głową przez chwilę w milczeniu, a potem powiedział:

– Ot, widzicie Szubowa, nie ma ich. Nie ma ich... i nic więcej nie mogę powiedzieć. Szukajcie ich sami.

Żony aresztowanych osadników bezskutecznie poszukiwały swoich mężów. Dopiero po trzech dniach przypadkowo pies Szuby znalazł za szosą skidelską zakrwawioną czapkę swojego pana. Pies zaprowadził do miejsca, gdzie na surowej roli kartofliska usypane były świeże kopczyki. Kiedy kobiety rozgrzebały ziemię, oczom ich ukazał się makabryczny widok. Stanisław Szuba i Jan Zawadzki związani byli ze sobą drutem kolczastym, a z ust wystawały zakrwawione języki oblepione ziemią. Bronisław Przeraziński miał rozpruty brzuch, a jelita rozlane na kolanach. Edwardowi Nowakowi rozłupano głowę na dwie części, natomiast Piotr Krupa miał uciętą głowę powyżej dolnej szczęki. Jan Jagielski był najmniej zniekształcony, miał tylko zdartą skórę z brzucha.

Sowieckie służby specjalne, kierujące działaniem grup dywersyjnych, śpieszyły się bardzo z realizacją swoich zadań. Dysponowały wcześniej przygotowanymi spisami Polaków, którzy musieli być zlikwidowani w czasie tak zwanego „zamętu wojennego”, zanim zostanie ustanowiona stała administracja sowiecka. Ustalono, że administracja nie będzie brudziła rąk czystkami i oficjalnie nic nie będzie wiedziała o morderstwach Polaków.

Kiedy Szubowa prosiła przedsiębiorcę Zuchniewicza o pozwolenie pochowania osadników na cmentarzu w Żydomli, spotkała się z odmową. Urzędowo nie stwierdzono mordu osadników, nie istniała więc podstawa do wydawania zezwolenia na pochówek. Gdy jednak zdesperowana kobieta, nie dbając o swoje bezpieczeństwo, powiedziała kilka słów prawdy, zdegenerowany przedsiębiorca powiedział: – Po to jest ta wojna, żeby powybić wszystkich takich jak wy!

Dobrzy ludzie pomagają

Ucichły strzały karabinowe i krzyki ludzi dobiegające od strony Kurpik. Kobiety i dzieci z Lerypola, zachowując dużą

ostrożność, zbliżały się do łąki Zarebskiego. Na łące zobaczyły zmasakrowane ciała swoich bliskich, leżące w kałużach krwi. Głośny płacz i lament przerwały dotychczasową ciszę.

Nagle z przydrożnych krzaków wysunęła się charakterystyczna postać starej Katieriny z Kurpik.

– Wy, kobietki, nie rozpaczajcie tu, bo i tak życia im nie przywrócicie – powiedziała. – Lepiej ratujcie siebie i swoje dzieci. Uciekajcie, gdzie możecie, bo w Kurpikach namawiają się mężczyźni, żeby żony i dzieci osadników wyróżnić nocą, żeby nie było krzyku i płaczu. Mówię wam, uciekajcie, uciekajcie, gdzie was oczy poniosą. Wy moje mileńkie...

Katierina rozejrzała się bacznie dokoła i znikła pośród drzew olchy. Ostrożność starej Katieriny nie była przesadzona. Wiedziała, że przekazanie ostrzeżenia rodzinom osadników może się dla niej skończyć tragicznie.

Już po kilku tygodniach żona Pantielejmona Pilca z Kurpik zaliła się na swojego syna Grigorija, że zagroził jej odrąbaniem łba siekierą na własnym progu, jeżeli ostrzeże osadników w Lerypolu.

Grigorij Pantielejmonowicz żyje do dziś w Kurpikach na ojcowiznie. Zapytałem go w 1993 roku, czy naprawdę groził matce odrąbaniem głowy siekierą. Potwierdził, że tak było, ale podał inną wersję, łagodzącą nieco jego zaangażowanie w przygotowaniu likwidacji osadników. Poinformowałem go przy okazji, że nasze ścieżki życiowe dwukrotnie zbliżyły się do siebie. Otóż jego matka, będąc „babką po dietam”, przyjmowała mnie, gdy rodziłem się na ten świat, natomiast on uczestniczył w składzie bojówki, która zamordowała mojego ojca. Powiedziałem też, że szczegółowe informacje przekazała mi moja mama, ciesząca się do tej pory zadowalającym zdrowiem i niezłą pamięcią.

Tymczasem żony osadników, ostrzeżone przez Katierinę, targane rozpaczą i strachem, pytały jedna drugą, co mają robić w tak beznadziejnej sytuacji. Ostatecznie moja mama, Pawlikowska i Górnicka postanowiły natychmiast uciekać do Kotry, gdzie znajdował się dom rodzinny Pawlikowskich.

Dwoma furmankami, załadowanymi dzieciarnią i skromnym dobytkiem, dojeżdżały do Sawalówki, wtedy od strony Obuchowa z kępy drzew wybiegło trzech mężczyzn. Kierując

lufy karabinów w naszą stronę, kazali zatrzymać się natychmiast. Lament i płacz dzieci mieszał się z wyzwiskami i groźbami pijanych napastników. Wyraźnie okazywana agresja i szcęk przeładowywanych karabinów wskazywały na to, że nasza ucieczka zakończy się tragicznie na drodze przed białoruską wioską.

W panującym dookoła zamieszaniu nie wiadomo, kiedy pojawiły się dwie kobiety z Sawalówki i z wielką furią zaatakowały naszych prześladowców. – Ojców pomordowaliście, a teraz dzieci chcecie zabijać? Ponad wszelką wątpliwość broniące nas mieszkanki Sawalówki znały atakujących nas mężczyzn. Jedna z nich, używając wymyślnych wyzwisk, wyrwała podpitemu mężczyźnie karabin i z obrzydzeniem rzuciła go w przydrożne chwasty.

Niespodziewana i nagła interwencja kobiet mocno speszyła napastników. – Jedźcie sobie dalej – zdecydował najstarszy – ale daleko nie zajedziecie! I tak „ubijut” was po drodze.

Dojechaliśmy do Kotry szczęśliwie, bez żadnych kłopotów.

Białoruska wioska Sawalówka nie była skażona ideologią nienawiści. Wielu osadników z Budowli i Rokicia przeżyło dni grozy, znajdując schronienie u swoich przyjaciół w Sawalówce. Jakub Zmitrowicz ukrywał w swoim domu sześciu osadników. Gdy o zmroku rozległy się w pobliżu strzały karabinów, Zmitrowicz kazał wszystkim kłaść się na podłodze i wypowiedział pamiętne słowa: – Bracia, ja was nie wydam. Jak będzie trzeba, to będziemy się bronić. Jak wam śmierć, to i mnie śmierć.

W Sawalówce zorganizowano straż obywatelską, która nocami pilnowała wioski. Dyżury pełnili: Tieżyk, Koszczyc, sześciu braci Szurpa i inni.

W 1994 roku rodziny osadników, przy wsparciu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, ufundowały tablicę upamiętniającą szlachetne czyny mieszkańców Sawalówki. Odstonięcia tablicy dokonała Helena Hryncewicz – córka uratowanego osadnika Jana Gromadzkiego, oraz Maria Kałasznikowa – wnuczka Jakuba Zmitrowicza.

Wieś Obuchowo była mocno sterroryzowana przez członków Sielskiego Obuchowskiego Komitetu i bardziej ściśnięta pierścieniem zła aniżeli inne wioski w okolicy. Umieszczenie Sielskiego Komitetu w Obuchowie nastąpiło zgodnie z general-

nym planem dywersji na terenach wschodniej Polski, opracowanym przez sowieckie służby specjalne jeszcze przed wybuchem wojny. Plan przewidywał „spontaniczne” tworzenie komitetów, budowę bram powitalnych dla wkraczających wojsk sowieckich, dywersję zbrojną, likwidację osadników, ziemian, niektórych popów i inne.

W Obuchowie działała prężna jacejka Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi (KPZB) aż do 1938 roku, kiedy to Międzynarodówka Komunistyczna w Moskwie rozwiązała Komunistyczną Partię Polski (KPP). KPZB, będąc partią autonomiczną w łonie KPP, automatycznie podzieliła los partii macierzystej. Partia została rozwiązana, ale szeroki aktyw pozostał i musiał być wykorzystany do dalszej walki pod kierownictwem bardziej sprawnym i operatywnym.

Sielski Obuchowski Komitet utworzyli dawni działacze KPZB i pospolici kryminaliści. W zasadzie nie było między nimi wyraźnego rozdziału, wielu bowiem aktywistów partyjnych miało przeszłość kryminalną. Przewodniczącym Komitetu był Włodzimierz Januczenia, syn zamożnego gospodarza. Jego zastępcą został Paweł Aplewicz, alkoholik i kryminalista. Wypędził z domu rodzzonego starszego brata Antoniego (kalekę) i sam prowadził gospodarstwo matki Anny. W krótkim czasie przegrał w karty cały inwentarz. Zamieszany w zabójstwo gajowego Stefana Słuckiego, siedział w więzieniu w latach 1934–35. Drugi zastępca, Paweł Budryk, pełnił w rejonie funkcję skarbnika KPZB. W 1934 roku został dyscyplinarnie usunięty za przywłaszczenie 60 złotych z pieniędzy partyjnych.

Komendantem milicji rewolucyjnej (ludowej) był Włodzimierz Aplewicz. W 1929 roku, podczas bójki na pastwisku, zabił kolegę, Jana Jakusiewicza. Za czyn ten przez wiele lat przebywał w domu poprawczym, a później w więzieniu.

Trzeba stwierdzić, że ludzie z komitetu mieli też chlubną kartę rewolucyjną. Oto sześciu oskarżonych o nielegalną działalność, zmierzającą do „... zmiany ustroju państwa polskiego na komunistyczny oraz oderwanie województw wschodnich i przyłączenie ich do ZSRR...” zostało skazanych wyrokiem sądu w Grodnie z 18 stycznia 1937 roku na pobyt w więzieniu od 2 do 5 lat.

Wyrokiem skazującym objęci byli także Włodzimierz Janu-

czenia, Włodzimierz Aplewicz, Gabriel Jukusiewicz, Piotr Januczenia, Antoni Hubienia, Stanisław Borejsza. Ci, którzy opuścili mury więzienne wcześniej, włączyli się do organizacji struktur dywersyjnych, natomiast pozostali dołączyli do nich dopiero po rozbiciu więzienia w Grodnie 18 września 1939 roku.

Wielu spokojnych i dobrych ludzi z Obuchowa, w obawie przed szykanami, musiało zamilknąć i nie dostrzegać licznych zbrodni.

Wspomina Marianna Szubowa, jak z Zawadzką bezskutecznie poszukiwały swoich mężów. Zatrzymały się w Obuchowie przed domem, gdzie przy furtce stała starsza kobieta. Mżył drobny, jesienny deszcz.

– Pani, może wy wiecie, gdzie naszych zabrali? – zapytały.

– Oj, biedne wy, biedne – pokiwała głową ze współczuciem – cała ziemia płacze nad waszą niedolą.

– Pani, powiedzcie nam, gdzie ich zabrali – prosiły osadniczki. Kobieta nie odpowiedziała. Jedynie w znaczący sposób przeniosła wzrok z kobiet w kierunku Żydomyli i szybko oddaliła się od furtki.

Nabór do grup dywersyjnych nie zawsze był dobrowolny. Stara kobieta z Żerosławi o nazwisku Pachotka zalała się do zaufanych znajomych, że jej syn dokonał poważnego samookaleczenia nogi, aby pozostawiono go w spokoju i nie zmuszano do zabijania innych ludzi.

Narasta poczucie krzywdy

Nasze życie w Lerypolu pod administracją sowiecką stawało się coraz trudniejsze i dokuczliwsze. Robiono spisy rodzin, rejestrowano inwentarz, ograniczano swobodę poruszania się itp. Zaczęły krążyć złe prorocтва na temat dalszego losu rodzin osadników. Nie ustawały aresztowania Polaków.

Będąc ciągle pod silnym wrażeniem utraty najbliższych osób, codziennie chodziliśmy z kwiatami na zbiorową mogiłę osadników. Jakże wielki był nasz ból, gdy następnego dnia mogiła była zadeptana, a pieczołowicie ułożone wiązanki kwiatów rozrzucone między krzakami.

Orientując się, że w Lerypolu nic dobrego nas nie czeka, pewnej listopadowej nocy uciekliśmy do Grodna, a stamtąd da-

lej pociągiem na Wołyń, do Kowla. Tu wprawdzie roztaczała się również władza sowiecka, ale w gąszczu polskiej ludności dużego miasta znaleźliśmy wsparcie i bezpieczny kątek. Jednakże wskutek nieustannych aresztowań i deportacji, liczba ludności polskiej szybko malała. Przybywało natomiast ludzi o nikczemnych twarzach i złowrogich oczach. Znowu zaczęło się dla nas trudne życie, wypełnione codzienną udręką i oczekiwaniem na deportację.

Wstrząs psychiczny po tragedii w Lerypolu głęboko osadził się w moim mózgu. Często zrywałem się pośród nocy z niespokojnym oszołomieniem. Przed oczami moimi przesuwały się odrażające twarze morderców z Kurpik i Pław. Zbliżali się wyciągając w moją stronę skrzwawione siekiery i noże. Dorośli zapalali światło i próbowali mnie uspokoić. Nie poznawałem nikogo z bliskich mi osób. Szlochając i trzęsąc się ze strachu, pokazywałem palcem sobie tylko widoczne majaki.

– Ooo! Już idą! Będą nas mordować! – wołałem bez przytomności.

Codziennie przeżywałem przykre upokorzenia, gdy publicznie naśmiewano się z Polski i Polaków, kiedy w gazetach zamieszczano ohydne karykatury polskich generałów i dostojników państwowych, a żołdaci śpiewali: „... Becki sprzedały Polskę...” A niektóre dzieci na ulicy, przenosząc rozmowy i nastroje rodziców, zaczęły mnie:

– Ty polskaja morda! Ja тебе nożykom zariežu!

Poniżany, upokarzany i często głodny, tęskniłem bardzo za utraconą Polską. Otuchy dodawały mi tylko marzenia, że wróci do nas kochana Polska, powrócą i obronią nas polscy żołnierze. Obiecywałem sobie, że gdy dorosnę i będę silny, to pojedę do Lerypola i Kurpik, spłacę wyrządzone nam krzywdy.

W Kowlu spotkałem siostrę Hildegardę, zakonnice wypędzoną z klasztoru, który sowieci zarekwirowali na własne potrzeby. Zakonnica krążyła po domach, ucząc bezinteresownie zaniedbane polskie dzieci, pozbawione polskich szkół. Zaczęłam chodzić na lekcje siostry.

Zakonnica olśniła swoją niezwykłą osobowością. Promieniowało z niej wszystko to, co człowiek może mieć w sobie najlepszego, wszystko, co mogło być tworem najwyższej kultury. Potrafiła wnikać w głąb mojej duszy i usuwać z niej

barykady strachu, nieufności i podejrzliwości wobec innych ludzi. Opowiedziałem siostrze o wydarzeniach w Lerypolu i Budowli, dodając, że gdy dorosnę, pojedę tam i zabiję Bazelika, Gołówkę oraz innych oprawców. Siostra była przerażona moją determinacją. Próbowała wyjaśnić, na czym opiera się katolicka moralność. Mówiła, że zemsta i odwet są równie dużym złem, jak sama zbrodnia.

Uczułem ucisk w gardle i niewysłowioną gorycz. Nie mogłem pogodzić się z tym, że uwielbiana przeze mnie nauczycielka, zdradza mnie także.

– Ale tak jest niesprawiedliwie – zawołałem z rozpaczą – ja i tak zakatrupię Bazelika, zakatrupię Gołówkę...

Ze szlochom wybiegłem na ulicę i przestałem uczyć siostrę na lekcje siostry Hildegardy.

Czas płynął. We wrześniu 1956 roku ukończyłem Wojskową Akademię Techniczną w Warszawie. Z dyplomem i kartą urlopową w kieszeni pojechałem do Grodna. Był to czas doskonałego funkcjonowania służb bezpieczeństwa i aparatu państwowego ZSRR, a żyjący jeszcze, niewątpliwie liczni mordercy osadników, z dumą nosili na piersiach swoje medale.

Moja mama próbowała odwieść mnie od zamiaru odwiedzenia Lerypola. Obawiała się, że gdy zostaną rozpoznani jako syn osadnika, nie zobaczy mnie już nigdy. Będę zabity lub uwięziony i zaginę bez wieści.

– Im nie można wierzyć, to są źli i przewrotni ludzie – mówiła wzburzona wspomnieniami – chęć zabijania i niszczenia mają we krwi.

W Grodnie spotkałem wielu serdecznych Polaków, którzy cierpieli ucisk narodowościowy i religijny, ale zachowywali swoją godność.

Łamiąc przepisy o poruszaniu się cudzoziemców, pojechałem z Grodna w rodzinne strony. Lerypol już nie istniał, większość drewnianych domów została rozebrana i przeniesiona do sąsiednich wiosek.

Nie było żadnego śladu po zbiorowej mogile osadników. Pamiętałem dobrze, jak była usytuowana, ale teraz, wśród wysokiej trawy i krzewów, trudno mi było dokładnie ustalić jej miejsce.

Zacni Białorusini, mieszkający w resztkach zabudowań ge-

nerała Szyllinga – Maria Syryl i Piotr Tołstiejko, nie tylko pokazali mi miejsce po mogile, ale pomogli także uporządkować ją. Piotr osobiście układał w dole ciała owinięte tylko w przesćcieradła.

– To byli dobrzy ludzie, pracowici i życzliwi – powiedzieli z zadumą.

O losach rodzin osadników nie wiedzieli nic. Byli przekonani, że wszyscy wyginęli na Syberii. Moje pojawienie się w Lerypolu, i to jeszcze w mundurze oficerskim, było dla nich dużym zaskoczeniem. W skrócie opowiedziałem o znanych mi losach niektórych rodzin, żyjących w Polsce, Anglii i USA.

W 1973 roku ponownie przyjechałem do Lerypola, tym razem z mamą i żoną. Mogiłę osadników, znowu skazaną na zagładę i zapomnienie, trudno było odnaleźć.

Krzyż wykonany przez Tołstiejkę stał niespełna rok – został zniszczony przez Bazelika.

Zapytałem o Marię Syryl i Piotra Tołstiejkę. Powiedziano mi, że nie ma ich w okolicy, bo dawno gdzieś wyjechali. Uzmysłowiłem sobie z goryczą, że ci prości, dobrzy ludzie nie opuścili stron rodzinnych z własnej woli. Kontakt przy zbiorowej mogile z synem osadnika w 1956 roku musiał być przyczyną licznych przesłuchań, a w końcu deportacji.

Przy pomocy Janka Szutkiewicza i Jurka Laskowskiego z Grodna postawiłem na mogile metalowy krzyż, który stoi do tej pory.

Głos sumienia

Na początku lat dziewięćdziesiątych nastąpiły duże zmiany polityczne w Europie środkowowschodniej. Kresy stały się bardziej dostępne i otwarte dla Polaków rozproszonych poza ich granicami. Niegasnąca tęsknota do bliskich sercom miejsc sprawiła, że rodziny osadników rozpoczęły pierwsze nieśmiałe podróże na Grodzieńszczyznę.

Wraz z Bronią Zarębską, moją sąsiadką z Lerypola, odwiedziłem grodzieński Rajspołkom. Przyjęto nas z kurtuazją i głębokim zrozumieniem. Wydano zezwolenie na postawienie pomnika, a nawet obiecano roztoczyć urzędową opiekę nad mogiłą osadników. Z pewnością był to gest dużej przychylności. To

mi jednak nie wystarczyło, aby doznać pełnej satysfakcji. Chciałem czegoś więcej. Dawno, jeszcze w Kowlu, ślubowałem sobie, że odnajdę Bazelika, Gołówkę i innych, że ukarzę ich tak, jak na to zasłużyli. Postanowienia poczynione w latach poniewierki i przeżywanej krzywdy teraz ożywały i dręczyły mnie, domagając się spełnienia testamentu zmarnowanego dzieciństwa.

Zapusiłem się między wioski białoruskie ścieżkami dawnego zła. Moim przewodnikiem był życzliwy Polak z Grodna, Tadeusz Jurowski. Poznałem losy ludzi, którzy jeszcze żyją.

Zabójca mojego ojca, Aleksander Nikołajewicz Kurpik (Bazelik), urodzony w 1902 roku, dożywa swojego zbrodniczego żywota u syna Aleksandra Aleksandrowicza Kurpika w Skidlu, na osiedlu Sacharnyj Zawod, przy ulicy Kirowa 11 m. 3. Nie zastałem go w domu. Wskutek drobnych kłopotów ze zdrowiem przebywał w szpitalu w Grodnie. Bez trudności odnalazłem Bazelika w czteroosobowej sali szpitala Pyski.

Stary bandyta i złodziej leżał na łóżku szpitalnym z odkrytym torsem. Liczne tatuaże były świadectwem jego kryminalnej przeszłości. Lustrowałem uważnie tego słabego, bezbronnego starca, który był kiedyś naszym prześladowcą i postrachem. Teraz leżał przede mną jak zużyty, porzucony łachman. Jego trzej współtowarzysze ze szpitalnej sali wyszli na korytarz. Mogłem zrobić mu bezkarnie coś złego, ale nie o to mi chodziło. Nie zamierzałem nikogo zabijać, nie szukałem odwetu, już bowiem w Kowlu siostra Hildegarda przebudowała mój wewnętrzny świat.

Tymczasem Tadeusz rozpoczął z Bazelikiem wywiad historyczny na temat zdarzeń z września 1939 roku. Wreszcie i ja włączyłem się do rozmowy. Powiedziałem Bazelikowi, kim jestem. Starzec zdenerwował się. W nie kontrolowanym odruchu obronnym podciągnął kołdrę pod brodę. Leżał w milczeniu spięty, przyczajony, w oczekiwaniu na jakieś gwałtowne zdarzenie.

– Nie bójcie się Bazelik – powiedziałem – nie zrobię wam nic złego. Nie zamierzam dokonać zemsty za śmierć ojca.

Bazelik milczał, leżał struchlały bez ruchu. Byłem przekonany, że nie wierzy moim słowom, bo przecież sam był człowiekiem przewrotnym i wiarołomnym.

– Przeszedłem spojrzeć w twarz człowiekowi, który zamordował mojego ojca. Chciałem też zapytać, czy kiedyś zastanowiliście się nad sensem swojego życia wypełnionego zbrodniami i kryminalnymi występkami. A może odezwał się kiedyś głos waszego sumienia?

Bazelik zdawał się nie słuchać moich słów, osłonięty kołdrą po czubek nosa, w milczeniu czekał na to najważniejsze, co wydarzy się za chwilę.

Powiedziałem mu, że właściwie los jest dla niego łaskawy, bo oto ja, syn zamordowanego osadnika, zjawiam się u niego w szpitalu. O ile on wykaże skruchę i żal za popełnione zbrodnie, to ja jestem gotowy udzielić mu przebaczenia. Wtedy, gdy nadejdzie jego czas, będzie mógł umierać spokojnie, bez brzemienia zbrodni.

Bazelik milczał. Milczał nawet, gdy Tadeusz zagadnął go po białorusku. Zaskoczenie i zdenerwowanie najwidoczniej odebrało mu mowę. Obawiając się, że wstrząs emocjonalny spowoduje mu rozstrój zdrowia, wyszliśmy z sali, by uszanować nie tyle samego Kurpika, ile raczej miejsce, w którym się znajdował.

Po kilku miesiącach odwiedziłem Bazelika w Skidlu, u syna Aleksandra. Sądziłem, że nasze spotkanie w szpitalu zmusiło starca do głębszych przemyśleń i zastanowienia nad swoim życiem. Rozmowa ze starcem przekonała mnie, że jest on wyczerpany z jakichkolwiek wartości moralnych, nawet w stanie szczątkowym. Kiedy Aleksander odprowadzał mnie do drzwi, z dużą grzecznością, stary Bazelik zawołał zza pleców syna:

– Na bagniet Tomczyka!

Odwiedzając strony rodzinne razem z Marianną Szubową, wdową po Stanisławie Szubie z Budowli, wstąpiliśmy do Eugenii Bułaj. We wrześniu 1939 roku Eugenia z kilkoma dziewczętami była silnym młodzieżowym wsparciem dla ludzi z Sielskiego Obuchowskiego Komitetu. Miała wtedy 18 lat i nosiła pannieńskie nazwisko Szostka.

W czasie likwidacji osadników z Budowli na polu, poza domem, w którym obecnie mieszka, osobiście zasypywała łopata ich ciała. Napracowała się solidnie. Ten i ów poruszył nogą czy ręką, a Eugenia obawiając się, że któryś z nich ożyje i uciek-

nie, dobijała ich łopata. Do dzisiaj ci, którzy chcą być złośliwi, mówią:

- Ty, Jewgenija, idź osadników dobijać łopata...

Obecnie Eugenia jest ponurą, zaniedbaną kobietą. Ma szare, wystraszone oczy i stały grymas na twarzy, który odsłania kilka szczerbatych zębów. Ubrana w zniszczone łachmany, robi wrażenie kobiety obłąkanej.

Na naszą prośbę, chętnie pokazuje miejsce, gdzie byli zakopani osadnicy. Nie wie, kim jestem, bo celowo nie przedstawiamy się.

Szubowa nie wytrzymuje napięcia. Pyta Eugenię, czy pamięta Szubę z Budowli i dodaje, że jest jego żoną.

- Tak pani, pamiętam Szubę. Wszystkich was pamiętam...

- I ja ciebie pamiętam, jak po śmierci mojego męża razem z innymi grabiłaś moje mienie. W biały dzień grabiliście nasz wieloletni dorobek, a potem wyrzuciliście mnie z własnego domu z sześciorgiem dzieci. Nie miałam dachu nad głową ani czym nakarmić dzieci.

Eugenia w milczeniu słuchała gorzkich słów Szubowej. Grymas na twarzy pełniej odsłonił jej szczerbate zęby, zaczęła drżeć.

- Pani - zwróciła się do Szubowej - darujecie mi? Powiedzcie pani, darujecie mi?

- Niech ci Bóg przebaczy. Ja ciebie sądzić nie będę. Ty i tak nie zrozumiesz tego, co my wycierpieliśmy na Syberii. Troje dzieci umarło mi z zimna i głodu. Umierały jedno po drugim, a ja nie mogłam nic zrobić, żeby je uratować. Takie mądre, dobre dzieci...

Marianna Szubowa zdenerwowała się wspomnieniami, poczuła się źle i musieliśmy pójść do samochodu.

W Kurpikach żyją do dziś Wołodia Pachnucewicz Kurpik, Dymitr Afanasjewicz Kurpik oraz Grigorij Pantielejmonowicz Pilec. Byli oni w składzie grupy dywersyjnej, która rozprawiała się z osadnikami w Lerypolu. Jednakże jako osiemnastolatki nie odgrywali tak ważnej roli, jak Arciukiewicz, Wincuk, Bazelik, Gołowka, czy nawet sam Pachnut Kurpik albo Tichon Kurpik. Nawet uzbrojenia nie mieli dobrego.

Odnajduję ich i rozmawiam z nimi. Wołodia Pachnucewicz deklaruje się jako dobry, życzliwy sąsiad rodzin osadników.

Przypominam mu sceny z domu Górnickich, gdy wyprowadzano na śmierć Tadeusza i Władysława. Wtedy z ojcem Pachnutem zachowywali się najbrutalniej. Plądrowali szafy i ubliżali kobietom.

Na potwierdzenie tych słów odczytuję mu wybrane zdania z listu, jaki otrzymałem z Anglii, od świadka tych okropnych wydarzeń. Autor listu, syn osadnika, miał wtedy szesnaście lat. Osobiście znał Wołodię, jego ojca Pachnutę, a także innych oprawców z Kurpik, Pław, Ogrodnik itp.

Wołodia rzucił się do przodu i gwałtownym ruchem ręki chciał wyrwać mi cytowany list. Był trochę podпиты i nie miał należytego refleksu.

Przed chatą Dymitra Afanasjewicza Kurpika jest ławeczka i studnia z kołowrotem. Przysiedliśmy na ławce. Dymitr już wiedział, że jestem w Kurpikach i miał wcześniej przygotowaną legendę. Stwierdził, że w dniu 22 września z samego rana pojechał do młyna i nie był świadkiem krwawych wydarzeń na łące Zarębskiego. Powiedziałem mu, że młyn w Ogrodnikach wtedy nie pracował. Jego właściciele, Kamińscy, mieli kłopoty i ukrywali się. Ponadto moja mama dobrze pamięta obecność Dymitra w grupie bojowców, którzy zabierali mężczyzn na krwawą rozprawę. Mama nie mogła się mylić, gdyż Dymitr kolegował się z jej dziewiętnastoletnim bratem - Tadeuszem Śliwińskim.

- Chciałem was zapytać - zwracam się do Dymitra - jak czuliście się, patrząc na zmasakrowane ciało swojego niedawnego towarzysza w wypadach do okolicznych dziewczyn i na miejscowe zabawy? A może kiedyś pomyśleliście, żeby na jego mogile położyć kwiatek czy chociażby zieloną gałązkę?

Dymitrowi trzęsą się ręce ze zdenerwowania i wie, że nie może tego opanować, co jeszcze bardziej go peszy. Sapie głośno i nie może powiedzieć nic więcej, tylko powtarza wcześniej przygotowaną wersję:

- Ja był w mielnicy.

Grigorij Pantielejmonowicz Pilec długo guzdra się za kopą słomy i nie zamierza wyjść przed dom, gdzie czekam na niego w towarzystwie Szubowej i Broni Zarębskiej. Czyżby bał się spotkania z rodzinami osadników? Wychodzi wreszcie na drogę po kilkakrotnym wołaniu żony.

Z nikczemnej twarzy patrzą na nas oczy przyczajonej jaszczurki. Zastanawiam się przez chwilę, o czym z nim rozmawiać. Może wystarczy nam sama wymiana spojrzeń? Ciekawi mnie, czy w głębi tego człowieka żyje okrucuch sumienia i czy kiedykolwiek dał mu odczuć o swoim istnieniu.

Meandry sprawiedliwości

Obłastnaja Prokuratura w Grodnie mieści się przy ulicy Dowatora 2. W gabinecie, gdzie załatwiane są trudne sprawy „minionego okresu”, pracuje intensywnie trzech mężczyzn. Wielu starszych ludzi przychodzi tu, by uzyskać pisemne potwierdzenie o latach przymusowej pracy lub o niesłusznych aresztowaniach.

Ja przybyłem tu z zupełnie odmienną sprawą. Przyniosłem do sądu sprawy morderstwa osadników z Budowli i Lerypolu.

Postawny mężczyzna, z pewnością szef biura, przyjął mnie życzliwie i zaczął wertować wręczone mu pismo. Zadał kilka pomocniczych pytań.

W skrócie zrelacjonowałem przebieg tragicznych zdarzeń w Budowli i Lerypolu. Pozostali dwaj prokuratorzy unieśli głowy znad papierów i przysłuchiwali się moim wypowiedziom. Włączyli się do rozmowy.

– Wy, pułkowniku, chyba nie jesteście prawnikiem?

– Ale w Lerypolu zamordowano mojego ojca.

– Tak myślałem, że z prawem nie macie styczności. Przedstawiacie sprawy trudne, a może nawet niemożliwe do przeprowadzenia.

– Mam wręcz przeciwne zdanie na ten temat. W moim piśmie, poza dokładnym opisem tragicznych wydarzeń, zawarty jest imienny spis sprawców mordu osadników oraz dokładne adresy tych, którzy jeszcze żyją. Podałem także adresy licznych świadków zamieszkałych na Grodzieńszczyźnie. Czego jeszcze prokurator może więcej oczekiwać? Wszelkie informacje potrzebne do wszczęcia postępowania wyłożyłem jak na pałeln.

– Zdajecie sobie sprawę z tego, ile lat upłynęło? To bardzo stara sprawa, a jej sprawcy, którzy jeszcze żyją, są bardzo starzy i niedołążni.

– Wiem. Sprawa jest stara, ale nieprzedawniona. Wniosek o wszczęcie postępowania opieram na Międzynarodowej Konwencji o niestosowaniu przedawnienia wobec zbrodni wojennych i zbrodni wobec ludzkości, uchwalonej przez Zgromadzenie Ogólne ONZ 26 listopada 1968 roku. Związek Radziecki podpisał Konwencję w imieniu wszystkich republik wchodzących w jego skład. Oczywiście Białoruś i Ukraina też podpisały Konwencję jako samodzielni członkowie ONZ. To napisałem we wniosku.

– Konwencja to ładnie zredagowana teoria na papierze, ale praktyka jest inna, często bardzo kłopotliwa – stwierdza inny prokurator. – Policzcie, ile teraz mają lat ci, wobec których chcecie dochodzić sprawiedliwości. Są starzy i na pewno schorowani...

– Wiem, że nie jest proste teraz ich karać. Proste było w 1939 roku, kiedy oni mordowali niewinnych ludzi. Żeby jednak nie było nieporozumienia, pragnę wyraźnie stwierdzić, że nie dochodzę wobec nich sprawiedliwości. W moim mniemaniu sprawiedliwości mogłoby stać się zadość wtedy, gdyby oni sami przeżywali takie cierpienia, na jakie nas skazali. Każdą inną karę mogę uznać jako symbolicznie potraktowaną sprawiedliwość. Ja tego nie chcę i nie występuję o jakiegokolwiek kary. Wyobraźmy sobie, że 92-letni Bazelik zostanie skazany na 25 lat więzienia. Czy to będzie miało sens? Dla takiego złego, nie chcianego człowieka nawet kara śmierci mogłaby okazać się szczęśliwym rozwiązaniem wielu jego problemów.

Szef biura nieustannie wertował moje pismo.

– Nie chcecie nikogo karać, to dlaczego zwracacie się do nas z tą sprawą? Gdy wpłynie do nas doniesienie o przestępstwie, to zajmiemy się sprawą tak, jak nakazują przepisy. Bez względu na to, jakie macie poglądy na odpowiedzialność prawną sprawców przestępstwa.

– We wniosku napisałem, że oczekuję tylko satysfakcji moralnej dla rodzin i niewinnie wymordowanych osadników. Kim byli osadnicy? Mój ojciec ochotniczo wstąpił do Legionów w 1914 roku, tak jak wielu innych Polaków, którzy uwierzyli, że Polska może odzyskać niepodległość po 123 latach niewoli. W ocenie sowieckiej dywersji ochotnicy, nazywani „dobrowolcami”, zaliczeni zostali do polskiego elementu patriotycznego,

skazanego na likwidację w pierwszej kolejności. Innym poważnym przewinieniem osadników było ich uczestnictwo w wojnie 1920 roku. Tym ludziom trzeba teraz oddać należny im honor.

Rodziny osadników, po okrutnych prześladowaniach i niewysłowionych cierpieniach na Syberii, rozproszyły się po świecie. Wielu z tych, którzy przeżyli prześladowania, wyteżoną pracą zbudowali nowe ogniska rodzinne. Niektórzy doszli do wysokich stanowisk i tytułów naukowych, inni prowadzą własne firmy. Chociaż żyją dziś lepiej i godniej niż sprawcy ich tragedii, serca mają przepełnione poczuciem krzywdy. Im także potrzebna jest satysfakcja moralna.

- Chcecie tylko satysfakcji moralnej, ale i tak wskazani przez was ludzie będą musieli być pociągnięci do odpowiedzialności karnej.

- Wydaje mi się, że nie będzie to konieczne – stwierdziłem – współczesna bowiem praktyka prawna odwołuje się często do pojednania stron, zwłaszcza gdy sprawa wiąże się z wydarzeniami drugiej wojny światowej. Autorytet moralny Polaków – kardynał Józef Glemp powiedział, że cierpienia i doznane krzywdy należy wybaczyć i pojednać się z niedawnymi wrogami. Zanim jednak nastąpi przebaczenie, druga strona musi wykazać skruchę i poprosić o to przebaczenie.

- Myślicie, że taki stary człowiek usłyszy w sobie nagle głos anioła stróża, który rozkaże mu tak postąpić, jak wy chcecie? Ponadto proponujecie, aby uznać Sielski Obuchowski Komitet za organizację zbrodniczą. Komitety powstawały w strukturze władz sowieckich, a spadkobiercą Związku Radzieckiego jest Rosja i dlatego nie powinno się wchodzić w kompetencje jurysdykcji innego suwerennego państwa.

- Nie da się jednak zaprzeczyć temu, że Komitet utworzyli i działali w nim obywatele Białorusi, mieszkający obecnie na obszarze waszej jurysdykcji.

- Liczę na to – powiedziałem na zakończenie – że panowie dobrze zrozumieli moje intencje i znajdą najlepszy sposób, aby skutecznie zakończyć tę bolesną sprawę, ciągnącą się tak wiele lat.

Wniosek mój został przyjęty do realizacji, a ja odchodząc usłyszałem zapewnienie, że podjęte zostaną stosowne przedsięwzięcia, aby sprawie nadać właściwy bieg.

Po kilku miesiącach otrzymałem w Warszawie pismo z Obłastnojskiej Prokuratury w Grodnie, że mój wniosek został oddalony, ponieważ przytoczone w nim fakty nie znalazły potwierdzenia.

Co osiągnęli mordercy?

W stosunku do ludzi z bojówek, które wymordowały osadników z Budowli i Lerypola, można użyć obiegowego stwierdzenia, że życie samo ich pokarało.

Przed wszystkim warto odnotować, że marnie skończyło całe kierownictwo Sielskiego Obuchowskiego Komitetu. Przewodniczącego Włodzimierza Januczeń i jego zastępcę Pawła Budryka zastrzelili niedawni jeszcze sojusznicy – hitlerowscy żandarmi.

Wcześniej jeszcze drugi zastępca Paweł Aplewicz i komendant milicji rewolucyjnej Włodzimierz Aplewicz zostali aresztowani przez samych Sowietów. Pawła przymknięto za niezaniecie broni w nakazanym terminie, a Włodzimierza za kradzież arkusza sklejk. Ich przewinienia były tylko drobnymi pozorami, ułatwiającymi pozbycie się głupich i niewygodnych sojuszników. Obydwaj z kilkuletnimi wyrokami pojechali do pracy w łagrach. Paweł zaginął bez śladu, natomiast Włodzimierz wkrótce pokazał się raz jeszcze „na powierzchni życia”. Tym razem w polskim mundurze żołnierza 5 Kresowej Dywizji Piechoty, na stanowisku pocztowego księdza kapelana. Jednak stwierdzić trzeba, że w dalszym ciągu prześladował go pech, bo do tej samej dywizji trafiło kilku starszych chłopców z Budowli i Lerypola, deportowanych na Syberię razem z matkami. Chłopcy rozpoznali mordercę i o swoim odkryciu niezwłocznie powiadomili majora Adama Machnowskiego. Major był osadnikiem z Budowli, zmobilizowanym w 1939 roku do „Zgrupowania Wołkowysk”. W dywizji był szefem artylerii.

Włodzimierz Aplewicz, aresztowany 24 grudnia 1941 roku, po kilku miesiącach śledztwa skazany przez Sąd Polowy na karę śmierci, został rozstrzelany 10 kwietnia 1942 roku.

Syn osadnika z Budowli Stanisław Samielko rozpoznął w 5 Dywizji również Piotra Dołbaka ze środowiska Sielskiego

Obuchowskiego Komitetu. Dołbak miał jednak więcej szczęścia i gdzieś się zawieruszył.

Sowieci aresztowali także wielu innych aktywistów. Iwan Josifowicz Hańta z wioski Pużyce podzielił los Pawła Aplewicz, natomiast Piotr Dziekoński z Marianówki został zamęczony w grodzieńskim więzieniu.

Żandarmi niemieccy zlikwidowali wielu innych bojowców. Zastrzelili przywódcę bojówki z Kurpik Stiepana Łukicza Arciukiewicza, zastrzelili także Wincuka Pilca z Pław.

We wrześniu 1939 roku Wincuk zabił szesnastoletniego Tadeusza Górnickiego, a następnie zdarł z niego granatową marynarkę gimnazjalisty. Gdy go żandarmi zastrzelili, miał na sobie tę zdobyczną marynarkę. Mówiono, że właśnie ona przyniosła mu pecha.

Inny uczestnik bojówki, Maksym Siewieryn, który zabił Stanisława Barszcza, też nie miał szczęścia. Do 1939 roku, jako właściciel sklepu i dorodnego ogiera, żył sobie dostatnio w Ogrodnikach, uchodząc za bogatego człowieka. Władza sowiecka, mimo ewidentnych zasług, obniżyła standard jego życia, ale prawdziwe nieszczęście spotkało go dopiero w 1945 roku. Pośród nocy wtargnęli do jego mieszkania czterej zamaskowani mężczyźni i zabili Maksyma w jego własnym łóżku. Dwunastoletnia Zinaida, córka Siewieryna, wyskoczyła ze strachu przez okno, ale rodzinie nie zrobiono żadnej krzywdy.

Siewieryn razem z Pietrukiem Gołową w 1939 roku zastrzelili na brzegu Kotry polskiego oficera narodowości białoruskiej, który po rozformowaniu jednostki przedzierał się do rodzinnego domu, położonego blisko, po drugiej stronie Niemna. Mówiono, że to rodzina zabitego oficera dokonała zemsty na Siewierynie. Prześtraszony tym wydarzeniem Pietruk ukrywał się przez wiele miesięcy. Osierocona Zinaida mieszka na osiedlu Sacharnyj Zawod, zmieniła kilku mężów i jest rozpięta do granic możliwości.

Surowszy los dotknął inną rodzinę Gołowki z wioski Pławy. Gierasim Gołowka, który zabił Władysława Górnickiego, powieścił się w 1946 roku. Jego syn Iwan Gierasimowicz Gołowka, młodociany uczestnik bojówki Arciukiewicza, około 1962 roku w stanie zamroczenia alkoholowego wszczął awan-

turę o pieniądze w chacie Mikołaja Arciukiewicza. Pijany Arciukiewicz siekierą odrąbał głowę Iwanowi Gołowce i wyrzucił ciało z chaty na ulicę. Młodszy brat Iwana, Wołodia Gołowka, w odwet odrąbał siekierą głowę Mikołajowi Arciukiewiczowi, za co skazano go na 25 lat łagrów.

Tylko niewielka grupa działaczy partyjnych i sprawców zbrodni ludobójstwa dożyła sędziwego wieku. Poza wspomnianymi wcześniej Bazelikiem, Griszą Pilcem czy Eugenią Bułaj warto kilka słów poświęcić także innym aktywistom, którzy uwierzyli, że przemocą i zbrodnią zbudują sobie lepsze, dostatnie życie.

Anna Wasieczek z Nowosiołek koło Żerosławki pracowała jako „szwajczarka” Obkomu KPZB w Grodnie. Używała wtedy pseudonimu „Nadzia”. Pasję i zapal młodą dziewczynę oddała partii. Utrzymując kontakty z jacejkami KPZB, działającymi w konspiracji, nieustannie wędrowała po okolicy. Była wszędzie serdecznie przyjmowana, miała wielu przyjaciół. Ciepło wspomina rodzinę Januczenia z Obuchowa, a szczególnie swoją rówieśnicę Kławę. Spotykała się z Budrykiem, Bylem, Aplewiczami, Kowalczukami itp. Jest rozgoryczona. Czas walki przeminał tak, jakby w ogóle był niepotrzebny. Do władzy doszli młodzi ludzie, którzy nigdy o nic nie walczyli... Anna cieszy się niezłym zdrowiem, ale jest mocno zmęczona borykaniem się z codziennymi kłopotami.

Kuzyn przewodniczącego Obuchowskiego Komitetu Froł Januczenia na wojnie stracił nogę. Jest rozczarowany. Uwierzył innym ludziom i całe życie walczył w imię lepszej przyszłości. A teraz? Nie ma ideałów, zostało mu z tamtych lat tylko kalectwo i niedostatek. Jeszcze coś innego pozostało, o czym Froł nie mówił. Nieczyste sumienie i poczucie zagrożenia.

O zmroku Froł rygluje drzwi swojej chaty potężnym dęgiem. Tadeusz Jurowski po białorusku musiał długo przekonywać przez zamknięte drzwi, że nic mu nie grozi z naszej strony, zanim starzec z dużym wysiłkiem usunął ryglujący drąg i wpuścił nas do chaty.

Żyje w Obuchowie siostra przewodniczącego komitetu, Kława Januczenia. Chyba ona jedna wierzy w słuszność walki, jaką kierował jej brat, Włodzimierz.

W Pużycach złożyłem wizytę Gabrielowi Andriejowiczowi

Pilcowi, który w 1938 roku razem z Antonim Wasieczkiem kierował działalnością konspiracyjnej jaczeki KPZB. Odwiedziłem wielu innych ludzi z kręgu Obuchowskiego Komitetu. Wszyscy żyją bardzo skromnie. Kiedyś, przed laty, opętani bałamutną ideologią nienawiści, wyrządzili wiele złego. Dzisiaj mają świadomość tego. Gdyby mogli życie zacząć od nowa, z pewnością inaczej pokierowałiby swoimi losami, ale niczego nie można już odwrócić i muszą dożyć swoich dni w poczuciu winy i zmarnowanego życia.

Zbiorowe mogiły osadników przez wiele lat będą świadectwem popełnionych przez nich zbrodni ludobójstwa.